

Respondent: Mężczyzna ur. w roku 1932, Zabrze

(...)

Badacz [B]: Rozumiem, że nazwisko zmieniono w 45 roku?

Respondent [R]: Nie, dopiero w 48 roku, dlatego, że ojciec dopiero wrócił w 48 roku z Kazachstanu z internowania. Bo to w 45 roku, tam w lutym tych mężczyzn z Zabrze, Gliwic i Bytomia wywieźli do Rosji, no i dopiero w 3 lata po wojnie wrócił. Także... 3 lata tam pracował za darmo (śmiej).

B: Rozumiem. Czyli właściwie rzecz biorąc, w momencie, kiedy Pana ojca wywieźli, to Pan został sam z rodzeństwem już, czy...?

R: No z rodzeństwem, no i z matką oczywiście. Matka później starała się o nas, bo myśmy mieli w tym czasie 13 lat, no to, to za bardzo nie mogliśmy się starać.

Chociaż pamiętam taki moment, że z kolegą takim wózkiem jechaliśmy po kartofle - to już musiał być maj 45 rok - aż za Strzelce, nie, za Ujest, znaczy, tam. No i faktycznie, tam były w ziemi kopce, no i mogliśmy nabrać cały worek... eee, nie cały worek tych ziemniaków, luzem oczywiście, mogliśmy cały wóz zabrać, i jeszcze po drodze znaleźliśmy w Ujeździe w jednej piwnicy worek zboża. I śmy też zapakowali. I wróciliśmy później na drugi dzień, myśmy tam nocowali, wróciliśmy [potem - D.H.] znowu do domu. A jechaliśmy tą starą autostradą, to znaczy tą z Bytomia, szła w kierunku...

B: Berlina.

R: Tak, Berlina. To było jeszcze ciekawe, że jak jechaliśmy tą szosą później, słyszeliśmy strzelaniny. Znaczą, strzelali. Myśmy myśleli "co to może być?" Były plotki, że Amerykanie mają wylądować i tak dalej, a okazało się, że to był dzień zwycięstwa akuratnie, to znaczy Rosjanie z radości, że skończyła się wojna, strzelali do powietrza, także...

No a poza tym w 47 roku, jak skończyłem szkołę podstawową, bo mam 7 klas szkoły podstawowej niemieckiej i 2 klasy polskiej szkoły podstawowej, o jak skończyliśmy szkołę podstawową już polską w 47 roku, kolega przyniósł kiedyś gazety i tam było, że w Nysie Gimnazjum Energetyczne zachęca, powiedzmy, do nauki, dają bezpłatne zakwaterowanie, nocleg i tak dalej, no i etwas czterech naszych z klasy kolegów wybraliśmy się do Nysy i tam byliśmy. Ale tylko pół roku byliśmy tam, bo koledzy coś zatęsknili za Zabrzem i wrócili z tej Nysy do Zabrze, no i to ja po pół roku też nie chciałem sam zostać w tej Nysie, to wróciłem też do Zabrze. No, z tym, że kierunki oni obrali różne. Dwóch kolegów, taki Kapsa i taki Widera, wybrali Szkołę Handlową, dawną, to znaczy na 3 Maja, ona się nazywała Administracyjno-Handlowa. Natomiast ja poszedłem do Gimnazjum Mechanicznego na Placu Traugutta, to była duża szkoła, i... a drugi kolega poszedł do ogólniaka, ale wtedy krótko musiał być ogólniak na Placu Traugutta też, to znaczy, bo ta szkoła zawodowa była w jednym budynku, a w drugim budynku był ogólniak. Ale ten ogólniak po roku chyba zlikwidowali i kazali tym uczniom albo przejść do innyś ogólniaków, bo na Sienkiewicza był ten ogólniak, znaczy tam na ten, III L.O. było. No i jeszcze gdzieś, albo tam na Piłsudskiego już było ogólniak. No ale namówiłem kolegi, który tam był w tym ogólniaku: "słuchaj, chodź do nas do Technikum Mechanicznego", bo ja skończyłem Gimnazjum Mechaniczne akuratnie w 48 roku i przeszedłem do Technikum Mechanicznego. No i on przyszedł ze mną i później chodził ze mną i skończył to Technikum w 52 roku.

No a poszedłem do Nysy dlatego, no żeby dla matki, żeby miała jednego mniej do jedzenia, znaczy do wyżywienia. Bo tam faktycznie jedzenie dawali, nawet bardzo dobre jedzenie dawali, tylko, że później trza było, rodzice musieli podpisać, że jak długo się pobiera naukę tutaj w tej szkole, w Nysie, to później tyle lat trzeba odpracować później w energetyce, to znaczy oni wskażą później miejsce pracy. No i, ponieważ ci koledzy już wcześniej uciekli, to ja to wziąłem za powód, napisałem do matki: "słuchaj, napisz, że się nie zgadzasz", no i wróciłem później do Zabrze, także...

B: A gdybyśmy się jeszcze na chwilę wrócili właśnie do tych czasów podstawówki, bo wspominał Pan, że to jest 7 klas niemieckiej szkoły...

R: Tak.

B: i dwie polskiej. Jaka była różnica między tymi szkołami? Jakoś inaczej traktowano Państwa z racji tego, że mieliście skończoną już tą niemiecką podstawówkę?

R: Nie. To znaczy, w niemieckiej szkole rok szkolny zaczął się 1 kwietnia. No a Rosjanie przyszli tu w styczniu 45 roku, to znaczy ja 7 klasę nie miałem skończoną, dlatego ja później powtarzałem już w

polskiej szkole no i dla nas specjalnie zrobili tu na Śląsku jeszcze 8 klasę, bo tam w głębi kraju, tam były tylko 7-klasowe szkoły podstawowe. No ale dla nas zrobili 8 klasę i to chodziłem do 8 klasy. Tylko śmiesznie było, jak w kwietniu, pod koniec kwietnia 45 roku, polscy nauczyciele - no bo już było wywieszane, że zaczyna się szkoła. No i myśmy się tam zgłosili, no i ten nauczyciel polski zaczyna do nas mówić po polsku, a tu cała klasa nie rozumie nic, wszyscy patrzą na siebie, także (śmiech) to była śmieszna sytuacja. To znaczy, później przyszło trzech "zza Buga", to znaczy tam powiedzmy ze stron Lwów, ci oczywiście rozumieli, co nauczyciel do nich mówi, reszta nie rozumiała. No to później ci nauczyciele nie mieli innego wyboru tylko był kij taki, który już za czasów niemieckich tam zawsze na katedrze leżał, no i pokazali "to jest lampa" i musieliśmy głośno powtarzać, cała klasa, "to jest lampa". No i tak to szło kilka miesięcy: "to jest okno", no "to jest okno", no i "to jest piec" no i tak wszystkie przedmioty co były tam, to ... no ale później już po 3, po 4 miesiącach, to już zrozumieliśmy już coś tam z języka polskiego.

Najlepiej miał nauczyciel matematyki, dlatego że matematyka była taka sama w niemieckiej szkole i w polskiej szkole, także ten miał najłatwiej. Gorzej ci z historii, z języka polskiego, ci nauczyciele no to...

B: Ale czuł się Pan jakoś traktowany gorzej, przez to, że nie rozumiał Pan języka polskiego?

R: Nie. I trzeba przyznać, że ci nauczyciele, zwłaszcza dyrektor szkoły był "zza Buga", ale tam ze Lwowa chyba czy skądś, w każdym razie, ale nas traktowali bardzo porządnie, nikt nas nie obrażał, czy coś takiego. Nie, takiego wypadku nie było. Nie przypominam sobie, byśmy byli gorzej traktowani. Ci wiedzieli, że nie umiemy języka polskiego i muszą nas najpierw nauczyć, no to...

B: A jakby Pan jeszcze przypomniał jaka to była szkoła, która?

R: No to była szkoła na ul. Grunwaldzkiej, ona jeszcze istnieje, ten budynek jeszcze istnieje. W tej chwili ale tam jest w jednej połowce restauracja, w drugiej połowce jest przychodnia lekarska, to znaczy tam... No i... Z tym, że wtedy to się nazywało, za czasów niemieckich, Tannenberg Schule, bo ta ulica się nazywała Grudwaldzka Tenenbergstrasse, no a wszyscy ale znali tą szkołę pod nazwą Galda Schule, bo wcześniej, przed nazwą Tannenberstrasse była Galdastrasse. No i wszyscy wiedzieli: "on chodził do galdowy" also on chodził do szkoły podstawowej na ulicy tam Galda.

(...)

B: Natomiast tak jeszcze troszkę nawiązując też do tych czasów, może nie tyle szkolnych, co do pierwszych lat po wojnie: no bo w Zabrze dużo było takich osób w podobnej sytuacji, które nie miały możliwości nauczyć się polskiego, a potem szybko musiały. Czy pamięta Pan jakieś osoby albo jakieś organizacje, które pomagały tym ludziom w załatwianiu najprostszych spraw, w nauce języka? Czy też każdy musiał sobie radzić na własną rękę?

R: Nie, każdy musiał sobie radzić na własną rękę. To znaczy ja nie znam jakiejś organizacji, która by pomagała w tym zakresie. Nie wiem, takiej nie było.

B: A z jakichś osób prywatnych, nie wiem, może duchownych?

R: Nie, nie, nie. Także... ja nie pamiętam, by ktoś przyszedł pomagać. Inna rzecz, że moja matka musiała troszeczkę znać języka polskiego, bo ja później się zorientowałem dopiero. Raz, że znalazłem taki dokument, że skończyła I Komunię, znaczy tam powiedzmy zrobiła. I ten dokument był napisany po polsku. To wiedziałem, że, ja ją pytam: "słuchaj, tyś chodziła na nauki do I Komunii w języku polskim?", a to było ale w czasach niemieckich. Mówi: "tak, no rodzice mnie tam wysłali i to poszłam". To pytam się: "dobrze, a ty znałaś, umiałaś pisać po polsku i tak dali?"; "Nie, myśmy nie musieli, myśmy na pamięć musieli się tylko nauczyć te modlitwy", także... Nie trzeba było znać pisowni polskiej, także... No, tym bardziej, że jej matka, znaczy w tym wypadku moja babcia, pochodziła z Makoszów. I okazuje się, że ona lepiej znała język polski aniżeli język niemiecki. Tylko, z nami, z dziećmi, nie rozmawiała. Ale później się dowiedziałem, że ona..., no ale ona umarła w 41 roku, a więc to, i ten dziadek też umarł w 41 roku, także... No ale, to znaczy, że starsze osoby znały język polski też i wiem na przykład, że jeszcze za czasów niemieckich, w kościele Św. Andrzeja, do 39 roku nabożeństwa były na zmianę, po polsku jedno nabożeństwo i później po niemiecku, i znowu... Z tym, że nabożeństwa były wtedy w łacinie, jedynie w danym języku był, kazanie było w tym wypadku w danym języku, no i jakieś wiadomości, komunikaty, także...

No, ale wiem, że dziadek podobno, jak już był na emeryturze, na 6:00 - bo pierwsza msza była w niedzielę o 6:00 - chodził na 6:00 na mszę do Andrzeja, bo tu kościół św. Andrzeja był tym kościołem,

który tu obejmował całe, no, ten rejon, gdzieśmy mieszkali. Myśmy mieszkali na ulicy właśnie Grunwaldzkiej 12, także... No to on chodził, bo był przyzwyczajony jako górnik, że musiał o 6:00 być na kopalni, no więc w niedzielę na 6:00 poszedł od razu do kościoła na mszę. No a ci górnicy też, ponieważ przejazd z Zabrze do Zaborza, znaczy bo on pracował na kopalni "Królowej Luizy", ale szyb Zachodni [Pole Zachodnie - D.H.], Westfeld to się nazywało - bo był jeszcze Ostfeld, to znaczy tam w Zaborzu. No i to szli do roboty, oczywiście z kolegami, piechotą. No to jednak jest te 1,5 kilometra i więcej, a nie chcieli jechać tramwajem, chociaż tramwaj jeździł, no ale on kosztował zdaje się 1 Markę, a za 1 Markę to już mieli 2 piwa zdaje się, także woleli iść piechotą, żeby po szybcie pójść sobie na piwo. Takie były czasy.

B: A gdyby Pan jeszcze mógł opowiedzieć o powrocie ojca na Śląsk.

R: No, to znaczy ojciec o tyle był mądry, że jak przyszedł do granicy polskiej, tam od razu podał, że mieszka w Zabrzu, bo normalnie to tych internowanych wozili od Niemiec, do NRD, a ci stamtąd dopiero wrócili tutaj na Śląsk, do swoich rodzin. Ale on od razu tam podał, z tym w jego dokumencie tam już nazwisko na "Goły" zmienili, ale w każdym razie...

No to z tym, że byli schorowani ci ludzie, przecież takiej opieki medycznej tam nie było w tej Rosji, no ale jakoś...

Tylko jedno głupstwo na głupstwo, jeden z moich wujków, znaczy od matki brat, był komunistą za czasów niemieckich już. No i później, w 45 roku, w lutym, oni dostali w jakiś sposób wiadomość, że mają się zebrać, ale w innym miejscu, nie tam gdzie ci normalni mężczyźni się zebrali, i ci po 3 dniach wrócili do domu, a tych wywieźli najpierw do Łabęd, ich tam prowadzili piechotą, zdaje się, i tam później wagonami, zdaje się tam już linia szerokotorowa zła, wsadzili do wagonów i zawieźli. Z tym, że tych górników przeważnie zawieźli do Doniecka, bo tam były kopalnie, no a ojciec był zatrudniony w Hucie "Bobrek", jako hutnik, no to widocznie zawieźli go do Kazachstanu, tam musiała być jakaś huta. Także, oni później po zawodach dzielili tych mężczyzn. Także...

B: A kiedy wrócił tutaj w 48 roku, miał problemy z zaaklimatyzowaniem się, czy...

R: Nie, ojciec? Nie, nie, on też musiał troszeczkę język polski, może w młodości gdzieś słyszeć, także, nie, nie miał. Tylko, że ten wujek, o którym mówiłem, namówił go, żeby poszedł do pracy na Kopalnię "Makoszowy", bo ten wujek tam był, zdaje się, przewodniczącym związków zawodowych, znaczy, miał tam ten komunistą, był tam jakąś ważną figurą. No i on się dał skusić i poszedł do pracy w 48 roku na tą kopalnię. Ale pechowo, że w 58 roku, po 10 latach, był duży wypadek na Kopalni "Makoszowy", tam 72 górników straciło życie, no i między innymi ojciec, a za rok miał pójść na rentę, na emeryturę. No i tak skończyło się jego życie dosyć nagle. No i ja dzisiaj żałuję, że nigdy z ojcem nie rozmawiałem na temat jak tam było w Kazachstanie, i tak dalej. To jakoś, no, nie przyszło mi na myśl, no a później już było za późno, to już nie można było nic...

A mój ojciec w ogóle miał życiorys paskudny, jak byśmy powiedzieli, no bo tak: urodził się w 1899 roku w Salesche, to jest Zalesie Śląskie, to jest mała wioska...

B: Koło Leśnicy.

R: Koło Leśnicy, tak, tam się urodził. Ojciec jego był murarzem. Ojciec później jego znalazł pracę tu w Zabrzu, bo tu kopalnie, huty, to wszystko się tu rozbudowało, także murarze byli potrzebne, potrzebni. No i on później, najpierw jeszcze mieszkali w Zawadzie, bo tam żona, babcia pochodził, a od tego mojego ojca matka, no ale później osiedlili się w Zabrzu i nawet na tej samej ulicy, tylko na Grunwaldzkiej 11, to znaczy tam gdzie ja się później urodziłem na 12. No i w 1917 roku zabrakło Niemcom już żołnierzy na froncie, no a on miał akuratnie wtedy 18 lat, no to od razu wciągnęli go do armii. I mama nawet zdjęcie, jak stoi w tym mundurze, a ten mundur taki biedny, taki widać już nie mieli porządnych mundurów (śmiech). No. I dostał się do niewoli francuskiej. I 2 lata był w niewoli, pracował gdzieś w kopalni we Francji gdzieś. Z tym, że wrócił tutaj później do domu, na Śląsk, ale to był ten okres wielkiego bezrobocia, no to znowu pojechał do Francji i tam znowu był jakieś tam 2 lata, no ale później w końcu wrócił tutaj, na Śląsk, no i później w 28 roku się ożenił właśnie z tą... aha, z moją matką, to była Gwozdek z domu ona była. No i ... no, w 32 roku ja i siostra się urodziliśmy się, to znaczy.

A no... także 3 lata pracował bezpłatnie w Kazachstanie i jeszcze tam 2 lata w niewoli we Francji. 5 lat. A jak nie miał pracy, tu później, to zatrudnił się w cegielni "Silber". To była cegielnia duża, cegielnia w

Maciejowie, na drodze jak się do kąpieliska "Leśnego" idzie...

(...)

B: Natomiast jak Pan myśli, czy tata w momencie powrotu, on jakoś poczuł się Polakiem, czy się bardziej Niemcem, czy trudno powiedzieć?

R: Trudno powiedzieć. Dlatego, że jak dali mu tą pracę w tej hucie, prawdopodobnie dali mu tą pracę pod warunkiem, że wstąpi do NSDAP, do partii Hitlera. No i on wstąpił, no, tym bardziej, że w tej nazwie przecież było "robotnicza partia". No i później był nawet jakimś takim, on zawsze był dosyć pilny, więc w tej partii też był jakimś pilnym i tam - pamiętam z lat młodości - w jakąś niedzielę zabrał mnie i zbierał, w czasie wojny to już było, zbierał jakieś datki dla armii czy coś takiego. Bo, ci ludzie dostawali później z plastiku różne czołgi czy tam samoloty, statki jakieś tam. I pamiętam, jak chodziliśmy tam po różnych rodzinach, także... tym bardziej, że tutaj niedaleko od nas był duży barak, to znaczy na Trocera, Niedziałkowskiego i Grunwaldzka, na tym skrzyżowaniu, był duży barak i to był ten barak tej NSDAP. Tam były biura w tym baraku.

(...)

B: A Pan w tym okresie, zaraz po wojnie, byłby w stanie powiedzieć, czy bardziej czuł się Polakiem, Niemcem, czy nawet nie przychodziły do głowy takie pomysły?

R: No, raczej czułem się Niemcem, właściwie. To znaczy, pamiętałem te wszystkie piosenki, powiedzmy, zresztą za czasów Hitlera młodzież od 10 do 14 roku należała do Jungvolk, to znaczy taka raz w tygodniu czy nawet 2 razy w tygodniu mieliśmy tam zbiórki takie, no i tam uczyliśmy się pieśni. Nawet jakieś gry były. Ale już gry były takie, jak gdyby wojenne. Pamiętam taką grę, że wzięto nas w pewien teren, gdzie były krzaki. Dużo krzaków było tam. I podzielono nas na 2 grupy, jednym dawali z welly zrobione takie opaski czerwone, a drugim niebieskie. No i kazali, jedna część szła z tamtej strony, druga z drugiej strony, i kazali w tych krzakach, jak zobaczycie kolegi, który ma tą opaskę inną aniżeli ty masz, to zerwij mu tą opaskę i będzie twoim jeńcem. No, i takie już zabawy były na tym, to takie...

(...)

B: A Pan nie chciał wyjeżdżać do Niemiec?

R: No nie, chciałem. Ale Panu powiedziałem, że ponieważ ci wyjechali już, a ta matka miała 90 lat, no to musieliśmy się zdecydować, że ktoś tu musi jednak przy tej matce zostać, bo ona nie może sama już żyć. No i to zostaliśmy. Z tym, że szczęśliwie się złożyło, że mogliśmy z ul. Grunwaldzkiej z tego domu, który został zburzony, przenieść się tutaj [na ul. Staromiejską w Zabrze - D.H.]. No tu oczywiście później, z biegiem czasu, wymienialiśmy okna, drzwi itd., znaczy robiliśmy duże remonty, no ale o tyle było nam wygodniej, że tam na Grunwaldzkiej mieliśmy jeszcze piece, to znaczy ogrzewanie było przy pomocy pieców. No a tu już siostra, znaczy szwagier, już mieli ogrzewanie przy pomocy i węgla, i gazu, bo oni mieli tam 2 te urządzenia, bo ponieważ szwagier był przecież w górnictwie pracował, to on dostał 6 ton węgla powiedzmy, także węgla mieli pod dostatkiem, ale również mieli na gaz piec później, także... no i do dzisiaj ogrzewamy gazem dom, tylko że to zimą to jest zaś kosztowne, no ale wygodnie jest za to, nie trzeba węgla, nie trzeba drewna, nie trzeba gazem nie trzeba, żeby rozpalić.

(...)

B: A ja bym chciał jeszcze zapytać odnośnie tych czasów, co do języka niemieckiego. Wiele można usłyszeć, że na ulicach starano się po niemiecku nie mówić...

R: Tak! Były ludzie, którzy oficjalnie w tramwaju czy na ulicy mówili po niemiecku, byli karani mandatami. Także... Tylko, że myśmy mówili zresztą między sobą zawsze, także specjalnie nie odczuliśmy tego, ale wiem, że, nawet widziałem później tu, w tym dokumenty już, mandat dostał ten i ten, ponieważ tam rozmawiał po niemiecku, także... I pamiętam, jeden kolega, a to już później, z początkiem lat 60., pracowałem, znaczy chodziłem na studium magisterskie na Politechnikę w Gliwicach i kolega też z Zabrze chodził tam, i nagle ten kolega miał proces. Ja pytam: "o co chodzi tu?". No on powiedział, a on pracował tutaj w biurze tutaj, WABA, przedsiębiorstwo chemiczne takie na ul. Wolności, tu w Maciejowie, znaczy... I on powiedział, że zakon rycerski, czyli ten die Kreuze ten, przynieśli wyższą kulturę tutaj na tereny - wtedy oczywiście - tej, tam... na górze. I on miał z tego proces i dostał rok czy 2 lata więzienia. Za to, że szerzy jak gdyby niemiecką propagandę, także... Ale on później też dostał dokument wyjazdu i wyjechał do Niemiec. Ale miał przykrości za to, że powiedział,

że ci, ten zakon, miał wyższą kulturę i jak gdyby poprawił gospodarczo ten teren.

B: Czyli nawet nie za mówienie po niemiecku, tylko o Niemcach.

R: O Niemcach, tak, że pozytywnie o jakimś niemieckim zakonie. Chociaż ten zakon nie był całkiem niemiecki, bo tam byli i inni rycerze...

B: Tak, nazwę miał "Domu Niemieckiego"...

R: No, ale miał właśnie ten kłopot ten kolega.

B: A pamięta Pan taki okres, kiedy jakoś te zaszłości właśnie, taki strach mówienia po niemiecku odchodził? Czy w pewnym momencie pojawiły się np. niemieckie książki, stowarzyszenia niemieckie, czy nie było tego za bardzo.

R: Nie, to znaczy wszystko zaczęło się później w 1990 mniej więcej roku. To wtedy powstały przy kościołach były te, takie spotkania mniejszości niemieckiej. Ja chodziłem i jeździłem nawet, bo "malucha" już miałem, jeździłem do kościoła św. Józefa, tam był ks. infułat Pierchała, no i on organizował coś takiego i każdy czwartek, raz w tygodniu, tam jeździłem. Tam mieliśmy nawet pewną panią, która była nauczycielką muzyki, ona grała później, no i myśmy śpiewali niemieckie piosenki takie, no... Takie znane bardzo. No zresztą później już tekst i był, no i tam od czasu do czasu on też przyszedł zawsze na te spotkania, ten infułat. I miał gazety zachodniemieckie i tam czasem przeczytał z tych gazet jakiś artykuł, także...

Pamiętam. Z tym, że tam zbierało się z początku dość dużo osób, może 60 - 80 osób się w tej salce zbierało, no. No a później, z biegiem czasu, to zmniejszyło się to. No i zresztą później tutaj, przy kościele św. Andrzeja, to znowu proboszcz, który pochodził z Biskupic, to on też zaczął organizować, ale nie, to znaczy nie te spotkania, tylko zaczął msze w języku niemieckim, z tym, że ona była chyba najpierw raz w tygodniu, a później była raz w miesiącu. Znaczą później była coraz rzadziej. No ale i ta msza jeszcze do dzisiaj istnieje.

(...)